Tygodnik literacki

literaturze, sztukom pięknym i krytyce poświęcony.

№ 12. Poznań, dnia 17. Czerwca. **1844.**

POEZYJA.

Pare scen z życia chłopa polskiego.

CZĘŚĆ DRUGA.

(Ciąg dalszy.)

Podróżny.

Sprzedał — a to w sposób taki
Że się zmówił ze wrogami
Co obsiedli bliskie krzaki
Że go wyda — bo z Rusami
Bił się strasznie, i za niego
Wziął sto rubli od starszego. —
Żołnierz wjechał w krzaki owe
I téż zaraz stracił głowę. —
To mi mówił Moskal stary
Co był przytem; a żołnierza
Znałem kiedyś — z naszéj wiary —
Chwat dalibóg! — Zwał się Janek

Kasia.

Jan Reszota?!

Podróżny.

Tak! tak! —

Kasia.

Słyszeliście Boże mój
(załamując ręce)

Wszyscy.

Co to? co to? —

Podróżny.

Miałżeby to bydź mąż twój
(do siebie) Wieś ta sama, tak ta wieś
Ta kobieta, znam ją gdzieś.
Bydź to może —

Kasia (obracając się do ludzi)

Widzicie zabił go.

Wszyscy.

Kogo? kto?

Kasia.

Pan! Pan! sprzedał za złoto
Męża mego kochanka,
Za złoto sprzedał Janka,
Nie płacz żono sieroto
Pan zabił męża, ojca,
Nie płacz! —

(Wszyscy wstają, zamieszanie powszechne. Podróżny zbliża się do Kasi.)

To to wy Katarzyno
Przypominasz żołnierza. —

(Katarzyna podnosi oczy i płacze nic nie odpowiadając po chwili)

Matka zmarła! mąż zabity!
O ja biedna; ukryty
Żal w sercu się rozszerza
A łzy ino, łzy ino!

Jeden z chłopów.

To bez kary niechodzi,
Krew niewinna do nieba
O pomstę srogą woła
Niech go bieda podoła
Niech mu Pan Bóg nagrodzi,
A w sto razy krzywdy téj,
Jaką Pan zadał jéj. —

Kasia (na pół pijana przychodząc do muzykanta)

Grąj muzykancie graj
Moją wesołość znaj
Płacę muzykę twoją,
Tą podartą płachciną,
Dam ci sierotę moją
Moją pociechę jedyną. —
Ino graj chcę tańcować
Niéma czego żałować. —

Podróżny (podając wódkę chłopom).

Pijcie chłopaki pijcie.

Jeden z chłopów.

Kto winien — pan bogaty.

Drugi.

Pójdę ja do méj chaty
W gałgan owinę pruchno
Resztę wiatry rozdmuchną —
(wychodzi.)

Podróżny (do Kasi).

Pójdź Kasiu pójdź do domu
Bo tam sierota głodna.

Chłop.

W gruzy pałac obalić. —

(Zmiana miejsca — Noc — widać światło we dworze, wychodzi chłop z chałupy trzymając w ręku pruchno owinięte gałganem, na drodze spotyka idącą kobietę.)

Chłop.

Gdzie tak nocą biegniecie?

Kobieta.

Do miasta do miasta
Bo wrogi wzięli dziecię. —

Chłop.

Alboż go odbierzecie
Już kto im w łapy wpadnie
Nie dobędzie się snadnie. —
Chyba go Bóg ocali.

(kobieta odchodzi.)

Chłop (do siebie).

Noc ciemna aż strach iść
A człowiek drzy jak liść,
Ale pan go zaprzedał
Życie jego odebrał
Chociaż mu życia nie dał. —

(pije wódkę.)

Będzież paniczku żebrał
Jak ci pruchnem zaswędzę
Poznasz paniczku nędzę! —

(postępuje kilka kroków, słychać dzwonek jedzie ksiądz.)

Ksiądz.

Niech będzie pochwalony.

Chłop.

Na wieki! — gdzie Bóg wiedzie?

Ksiądz.

Wasz pan we wielkiéj biedzie
Bo śmiertelnie złożony
I to nagłą chorobą. —

Chłop.

O! — (do siebie) nie znał Boga nad sobą.

Ksiądz.

Do dworu prosta droga? —

Chłop.

Gdzie się świeci to dwór
To białe — dworski mur. —

Ksiądz.

Bo noc ciemna a sroga
Wiatr okrutny! no daléj —
Pan Bóg zapłać. —

Chłop.

dziękujem.

(Ksiądz odjeżdża.)

Chłop (do siebie.)

Sam go Pan Bóg obali
Bóg widzi krzywdy człecze
Któż przed Bogiem ucieczе. —
Bóg się pomścił sieroty
Niechże mu będzie chwała —

(Spogląda na owinięte pruchno, które trzymał, stoi przez chwilę zamyślony w końcu spluwa i żegna się.)

Idź zły duchu odemnie
Boża ręka skarała
Jego wszelkie niecnoty
Idźże precz.

(Spluwa żegna się i wraca do chaty.)

Wielki ciężar spadł ze mnie
Idę zasnąć spokojny
Widmo Pan Bóg sam karze
A ludzkiéj niechce wojny —
Pójdę — Boga obrażę
I sumienie obciążę
Pan Bóg złym ręce wiąże. —

(wchodzi do chaty.)

(Izba jak na początku, na kominie ogień rozłożony i pozastawiane garnki.)

Podróżny (do Kasi).

Bóg wielki skarał pana
Już on na jego sądzie.

Kasia.

Krew niewinnie wylana
Krzywdy ludziom zrządzone
Bożą ręką pomszczone. —

Podróżny.

Wszystko przeszło — radość — biedy,
A życie trzeba gnać,
Czy lepiéj będzie kiedy
Nie nam to ludziom znać. —
Dla was Kasiu w mym domu
Znajdzie się kącik mały. —

Kasia.

Niech wam to Bóg nagrodzi
Ta niebieska królowa
Niech wam życie osłodzi
I od biédy zachowa. —
Pan Bóg ciérpiał i chwały
Swojéj siła zostawił,
To i człek cierpieć może
Choćby serce zakrwawił
Zły duch jaki — to Boże
Pomóż! —

Małgosia (całuje w rękę podróżnego).

Ja wam będę służyła.

Podróżny (do siebie).

Na świecie biédy siła
W naszéj ziemi najwięcéj
A wszystko to przez panów,
Ludu tyle tysięcy
Pod rózgami tyranów,
Tyle łez tyle krwi
Oj biedni biedni my!

(Koniec drugiéj części.)

WYJĄTEK

z dzieła:

Kilka wspomnień i kilka obrazów *)

przez

Julię Woykowską.

— — — Był to właśnie tydzień temu, kiedy ksiądz proboszcz był u mnie, a rozpowiadał mi tak czule o owéj wiejskiéj rodzinie, o owém Kubie, co kiedy zmarł ze zmartwienia po swéj kobiecie; nie zostawił po sobie w dobytku jeno dwa prosięta — a dzieci pięcioro do wyżywienia. — Już się dziś znaleźli byli dla trzeciego dziecięcia, rodzice *z imienia* — z imienia mówię, bo któż dziecięciu zastąpi własną matkę? Nie matkę balową, z wyperfumowanemi włosami i z wyperfumowaną duszą, co to piastunce, mamce, późniéj obcéj guwernantce odda dzieci; ale matkę co mlékiem swych piersi, tchem swégo serca karmi dziecię.

Stałam sobie przy oknie i patrzałam w świat i dumałam — Ponura jak śmierć, potężna jak anioł zniszczenia wysłannica przyrody już od kilkunastu dni zawitała była do nas. Doliny i góry osuły się liściem czerwonem drzew, co każdego roku w téj porze płaczą łzami krwawemi za słońcem coraz bledszém; — wilgotny zimny wicher łamał się o mury wysokiego pałacu i o niskie strzechy poziomych chatek z głuchym jękiem, a poruszając wierzchołki drzew ciemnego lasu: wydobywał z nich głos wielki, głos potężny, samych niebios sięgający. — Po niebie szerokiém przesuwały się chmury czarne, to jakby porozdzieranych szat żałobnych kawały, to jakby olbrzymi rycerze z światów obcych, gnani rozpaczą po szerokiéj niebios przestrzeni. — Wszędzie jesień — jesień żelazném berłem konieczności panująca ziemi, jesień z twarzą smętną, ponurą, pełną boleści. — Po niebie — po ziemi — po szerokiém błoniu — po lesie, przebiegała boleść w szacie żałobnéj i głosem tęsknym, smutnym, ponurym, wołała: biada! biada! biada!

Ja patrzałam — patrzałam na te chmury gnane wiatrem, na te liście z drzew spadające, na ten smutek ogólny w przyrodzie. — Przysłuchiwałam się głuchemu jękowi wiatru i zdawało mi się że słyszę jęk cierpiącéj połowy Ludzkości — zdawało mi się że to wzruszona jéj boleścią, płacze ziemia łzami krwawemi.

W tém zapukano do drzwi megó mieszkania, a zanim jeszcze zdołałam pójść je otworzyć — już zaskrzypnęły zawiasy, drzwi się odchyliły, a zdejmując czapkę, poczciwém »niech będzie pochwalony Jezus Chrystus« przywitał mnie Grzegórz.

Grzegórz było to chłopisko dobrze mi znane — uchodził on we wsi całéj za złodzieja i mówiąc tak po prostu: psy na nim wieszano, za to że ukradł kiedyś — co? oto snopek zboża! — Biedny człowieku myślałam nieraz, ileż to kradną wielkie pany skarbów publicznych — wielcy filantropi zaufania, a przecież nikt ich złodziejami nie śmie nazwać. O bo pierwsi kupić mogą złotego blichtru by kradzież ozłocić — drudzy osłonią ją blichtrem słów — słów szumnych — wzniosłych zasad. — Tyś się nie znał na tém wszystkiém! Tyś wziął garść zboża, potem twém oblanego, na strawę mizerną — i ot! wycisnęli, wypiętnowali ci znamię na czele!

Dziś w téj chwili jednak, nie pomyślałem o tém, bo twarz Grzegorza tak wypogodzoną a tak smutną była razem, że spodziewałam się nadzwycznéj jakiéj wieści. — Ledwo też com mu odpowiedziała »na wieki wieków« a już zapytałam skwapliwie: »cóż to was do mnie prowadzi mój Grzegorzu.«

Oj i bieda i szczęście paniczko najmilejsza. Przecież pan Jezus, matka Boska Najświętsza wysłuchali modlitwy mojéj gorącéj, a Małgocha moja porodziła córę. — O mój Jezusiczku drogi — kiejć jeno tegó się człek doczekał — alećem téż osiem lat całych paniczko moja, modlił się do Najświętszéj panny, aż oto kiejm jéj na *Siewną* *) położył caluśką świecę woskową na ołtarzu, com składał na nią przez rok pieniądze — toć mnie wysłuchała. — O kieby jeno téż to paniczka widziała! adyć to tłuste, a ciałko ma twarde kieby z wosku ulepił — a ciężkie co ledwo unieść. — Jeno niewiada co zrobię teraz — ciągnął daléj, zasmucając się nagle: — Małgocha moja co jeść niéma — jenożem dziś piwa zmieszał z wódką a dał jéj wypić, to cała jéj strawa. — Zkądże ta brać człeku kij nie może iść na robotę, bo trzeba pilnować Małgochy.

Podczas kiedy Grzela domawiał słów tych ostatnich ja wzięłam na siebie płaszczynę, a gdy skończył, pocieszając gó jako mogłam, puściłam się z nim ku chatce by się przekonać o tém czegó trzeba, a zaradzić czemby można. —

---

*) Wyjątek ten jest z dość obszérnego dzieła, które autórka wkrótce wydać ma zamiar. Między artykułami dzieła tego znaczniejsze są: *Lud Wielkopolski.* — *Lud nasz w Śląsku.* — *Wspomnienia z podróży po górnym Śląsku.* — *Wrocław.* — *Artyści i artystki* (Liszt, Sztrausowa, Kossowski itd.) szczególnie zaś *Pogląd na W. Ks. Poznańskie.*

R. T. L.

*) Święto matki Boskiéj.

Lecz jakże opiszę widok który mi się na wejściu do tejże chatki przedstawił? — Chodziłam była dotąd codzień po chatkach, widziałam liczne nędze — a odtąd — odtąd ileż ich nie widziałam? a przecie dziś jeszcze — dziś kiedy to piszę — dziś kiedy od czasu owégó już tyle lat uszło; jeszcze z pod powiek od łez odwykłych — wypływają zły gorące — łzy krwawe.......

W chlewiku ciasnym do którego zewsząd zaciekała woda strumieniami — stało jedno łóżko — łóżko wspólne rodziny, i skrzynka — nic zgoła więcéj! — Na łóżku snopek słomy nie odzianéj niczém — niczém — jeno w głowach gruby jakiś gałgan — a na téj słomie sparta głową na owym gałganie leży niewiasta w koszuli podartéj, popłatanéj — bez okrycia: koło niéj dziecie nagutkie jak wyszło z żywota matki — jeno brzuszek ma przewiązany gałgankiem — na więcéj szmaty nie stało! A w komorze zimno.....

— — Taki to widok spotkał mnie na wejściu do ciasnéj izdębki, a ta niewiasta kmiotka — ona z jaśniejącém leżała obliczem, a chłop jéj odziany w mizerną siermięgę stał nad nią i ściskał to kobietę — to brał dziecię a podnosił w górę a pokazywał mi, a płakał z radości — z radości że został ojcem. Został ojcem — przeto wszelkiéj zapomniał nędzy!

Osłupiała na widok tak strasznéj nędzy i tyle uczucia — jakim sposobem wydobyłam się z chatki już nie pomnę. To wiem tylko że idącéj ku domowi łzy gorące płynęły, a ja te łzy ocierałam skwapliwie — dmuchałam na chustkę i kładłam ją na oczy — boby znać było żem płakała — widzieliby ludzie — widzieliby że płaczę nad nędzą chłopka stworzonego do nędzy — widzieliby i powiedzieliby „*Szalona.*“ A jam była młoda. A wiecie czém to sąd ludzi dla człowieka młodégo? Brewiarzem? o więcéj! trybunałem? o więcéj! — Wyrocznią!

Ja byłam nie tylko człowiekiem młodym — byłam kobietą. — A wiecie wy czém to sąd ludzi dla kobiety, dla kobiety młodéj? — Ot sądem ostatecznym.

Ja byłam nie tylko kobietą ale młodą dziewczynką co musi pracować na chléb — któréj co dzień świat prawił: »nie mów słowa, nie czyń nic, coby się nie podobało ludziom pieniężnym, bo umrzesz z głodu.“ —

Był więc sąd ludzki więcéj dla mnie jak sądem ostatecznym. — Bo jeszcze i śmiercią głodną. —

Ja byłam nie tylko dziewczyną młodą ale byłam dziecięciem młodém co nie wie że sąd świata gałgan to zbrudzony zabobonem, przesądem, interesem, — byłam dziecięciem co niewiedziało że *sprawiedliwym* jest jeno sąd *sprawiedliwych!*

A ich kto chce znaleźć, niech się z Dyogenesem w świat puści i szuka o zapalonéj latarni.

Więc miałam przyczynę ocierać spiesznie oczy, a chować łzy moje.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

KRYTYKA.

ROK 1843.

pod względem

oświaty, przemysłu i wypadków czasowych.

(Ciąg dalszy.)

W niém mamy: *ogólne kwestyje ze szczególnych rozbierać stanowisk i wyłącznem okiem* każdego *stronnictwa wyłączne stronnice każdéj kwestyji oglądać.*« (str. 135). Bo »*Dawać więc przystęp wszystkim stronnictwom, przestrzegać warunkowo ich uprawnienia, uznawać respective istotną, acz jednostronną zasadę każdego;* — *jest właściwie nadać popęd rzeczywistym i dodatnym żywiołom wzajemnie jednostronność swoją podpierających, a wyłączać tylko to, co samo jako* nieistotne, *a przez to* nieistnące *wyłącza*..... *Pismo więc stowarzyszenia nie może i nie powinno przybrać żadnéj wyłącznéj barwy ani chorągwi, a raczéj jedyną ogólną jego chorągwią będzie miłość prawdy i dobra powszechnego. Ktokolwiek do tego celu dążyć będzie jakiemikolwiek drogami i środkami, byle przyzwoitemi i godziwemi (a criterium tego znajduje w uczuciu estetycznem i moralném), temu kolumny pisma są otworzone.*« (str. 138) — Jakkolwiek »*towarzystwo**) *przyjaciół postępu*«, *zawiązane* »*w celu utworzenia ogniska dla życia naukowego w Wielkiém Księstwie Poznańskiém oraz powiększenia dzielności i skuteczności usiłowań do wszechstronnego postępu ducha przyczynić się mogące*« (str. 132) było bardzo pożądaném, wątpię jednak, aby się podobne towarzystwo wraz z swojim organem, na wzwyż podanych zasadach oparte, mogło długo utrzymać, a wcale nie przypuszczam, żeby kiedy dopięło swego celu. — Bo do czegoż to doprowadzi, że z pospędzanych w jedno żywiołów różnorodnych, każdy ma się rozwijać swoją, odrębną drogą? — Do najśmieszniejszego, bo systematycznie wyrabiającego i coraz bardziéj uprawniającego się (bo na wzajem za słuszne uznanego) rozró-

żnienia umysłów! Towarzystwo jakie ma się zawiązać na wyżéj wskazany cel, porównywa autór z parlamentem politycznym, pisząc na str. 135 i 136: „*jak w parlamentach politycznych mieszczą się stronnictwa i wspólnie udział biorą do wykształcenia i wyświecenia ustaw, tak też w parlamentach naukowych (któremi są wszelkie podobne stowarzyszenia) żadne stronnictwo odbiegać niepowinno od obowiązkowéj daniny. — Jakkolwiek wypadek dyskussyji wykształcić się może, nie po myśli téj lub owéj frakcyi, pozostaje jéj zawsze możność zbijania lub protestowania, jako środek zaprzeczny (negative), a następnie wniesienie nowej rozprawy z* innego *stanowiska wysnutéj, jako środek dodatny (positive) do wyłożenia i przeprowadzenia własnych swojich widoków. — Zwracamy także uwagę na to, iż takie zjednoczenie stronnictw nie będzie i być nie powinno* koalicyją *tychże. Wszelkie koalicyje z natury swojéj są wątłe, krótko trwałe nawet szkodliwe, bo elementa skoalizowane zwykle nawzajem sobie ustępują, a przeto od właściwego stanowiska odstępują. To sprowadza zwichnięcie samych stanowisk, a prędzéj czy późniéj głębsze ich jeszcze rozdarcie. Nam zaś* nie o wzajemne ustąpienie, ale o wspólne postąpienie idzie. *Bez zrzekania się samodzielności swojej, bez wystąpienia z właściwego sobie stanowiska, bez wtłaczania się w ciasne jakie lub też czcze formuły, które właśnie sprawiłyby zgładzenie żywotnego piętna każdego kierunku, dostąpić możemy pełnéj różnobarwnéj i organicznéj jedności.*“ (str. 136). Prawda, że w parlamencie politycznym „wszystkie mieszczą się stronnictwa“, ale dla tego, że *muszą:* tego autór zapomniał dodać; muszą one razem zasiadać i radzić, bo składają się z wysłanych tamże przez obywateli reprezentantów, ale w naukowym parlamencie, jeżeli mieszczą się różne stronnictwa, — to z własnéj woli; kraj bowiem tam reprezentantów nie posyła. Druga różnica między parlamentem politycznym a naukowym w tém zachodzi, iż żaden parlament polityczny nie ma jednego tylko organu, czyli pisma, lecz każde stronnictwo tamże zasiadające we własném swojém piśmie broni zasad swojich i postępowania swego. A parlament naukowy taki, jak owo przez autora zaproponowane towarzystwo mieć tylko będzie jeden organ, w którym każde stronnictwo ze swego stanowiska rozbierać może zadanie do opracowania wniesione. — W parlamencie politycznym nareszcie różne stronnictwa ścierają się; każde chce przeprzeć swoje zdania, wziąć górę nad innémi, — inne zaprosić na ustęp. Tu wszystko dzieje się naturalnym torem. W parlamencie zaś naukowym zwyż wspominanym, wszelkie stronnictwa mają *spólnie postępować*, *żadne drugiemu nieustępować;* one mają się ani *pojednać*, ani *znosić*, lecz *wznosić*. (patrz str. 136 i 137). — Zabawne to będzie towarzystwo! Do niego dopiero przysposobić trzeba członków. — Będzie to sejmikowanie nieskończone; będą tam radzili, objaśniali, rozbierali, pisali — a nic nie wyradzą, nic nie wyjaśnią, skoro żadne stronnictwo starać się nie będzie o to, aby drugie, przeciwnie myślące i działające przekonać, że myśli i działa niestósownie, i przeciągnąć je na swoję stronę. — Będzie to szkoła, w któréj ludzie nauczą się grzeczności w obchodzeniu się z inaczéj myślącymi „wyrozumienia dla wstecznych dążeń; członkowie jego starać się będą, aby pozbawić się najprędzéj wybitnego i tęgiego charakteru (przypuściwszy że nim obdarzeni); bo przecież człowiek z charakterem niemoże pracować w braterskiéj zgodzie z człowiekiem różnie myślącym i działającym; tam cię nauczą, że konieczna, ochłodzić krew gorącą, by nie zawrzała na odgłos zdrowe umysły oburzający; panowie członkowie będą to ludzie, bez sił, bez duszy, machinalnie pracującymi i spokojnie dążącymi ku jakiemuś celowi, het tam gdzieś mgłą jeszcze zakrytemu. — „Rzecz ta wydaje mi się tak.“ — „„Niech szanowny członek przebaczy, zapatrując się na to z innego stanowiska, znajduję, że się to zupełnie ma inaczéj.““ — „Tak, tak, szanowny pan ma także słuszność, to może być i tak, ale też i inak. Jednak ja, zdaje mi się, mam racją; ale i to, co pan o tym przedmiocie utrzymujesz, jest niemniéj prawdą. Bo to prawda jest jedność różnobarwna, ale mimo tego organiczna. Przecież to rzecz dowiedziona i znana powszechnie, że oku ludzkiemu — prawda że niezdrowe-

*) Bezpośredniemi środkami dopięcia celu stowarzyszenia będą:

1) otwarcie pola rozpraw, tak piśmiennych jak ustnych, we wszystkich kwestyach, ogół obchodzących;

2) wydawanie pisma zbiorowego co kwartał, lub co miesiąc, w miarę obfitości treści, obejmującego czytane i przyjęte na posiedzeniach rozprawy, wraz z treścią dyskussyi, do któréj powód dały;

3) otwieranie lub ustalenie kursów popularnych w naukach, tak fizycznych jak duchowych, obejmujących albo całą dziedzinę pojedyńczéj nauki, albo też najprzystępniejsze i dla świadomości ogółu najpotrzebniejsze jéj wypadki, jak to czynią liczne, a w tym celu umyślnie zawięzywane stowarzyszenia angielskie;

4) wyznaczanie konkursów i nagród na rozwiązanie zadań, które stowarzyszenie lub też pojedyńcze podawające osoby, uważać będą za szczególnie ważne, i na dokładne zbadanie zasługujące;

3) zajęcie się wszelkiemi przedsięwzięciami naukowemi, które dla obszerności lub ważności swojéj z trudnością na drodze prywatnéj dałyby się uskutecznić.

mu — jeden i tenże sam przedmiot w różnych pokazuje się barwach; jednemu wydaje się to szarém, co drugiemu czarném. Tak niezawodnie ma się téż i z okiem duchowém człowieka « — »» Oczywiście. « « — Takie towarzystwo spólnopostępowców nareście wyda słownik spólnopostępowy języków, w którym każdy wyraz gwoli różnych stanowisk, według potrzeby tłómaczących wyrazy, różne mieć będzie znaczenia; tam n. p., powiedzą, że *dobry* to samo może być co *zły*, *słuszny* co *niesłuszny* albo *niebardzo słuszny*. Już jakiś pan D. utrzymuje przecież w piérwszym zeszycie Roku 1844. na str. 74., że coś tam jest słusznem, ale zarazem niegodném. — Pismo tegóż towarzystwa — któremu wypada przyjąć za godło: »risum teneatis amici,« — umieszczać będzie rozprawy o jednymże przedmiocie, z pomiędzy których każda jeden i teuże sam przedmiot inaczéj uważy, inaczéj przedstawi, inaczéj osądzi. A czytelnicy, mniéj biegli w ocenianiu rzeczy a przywykli iść za powagą słynnego nazwiska, którymto do woli zostawiono, przyswoić sobie jedno z owych zdań, przemawiające do ich przekonania, widząc tu takie różnobarwne wyobrażenie jednegoż przedmiotu, nieraz zbałamuceni, niebędą wiedzieli co z tém począć. — Towarzystwo, które chce być istotnie postępowém, [a nie tylko naprzód się stupurczącém, które, skupiwszy w jedno siły umysłowe, zdatne do działania dla oświaty prawdziwéj i dobra kraju, skutecznie chce niemi kierować; towarzystwo takie powinno, tchnąć jednym duchem, a dzielnym; powinno się powodować zgodnémi ze sobą zasadami, opartémi na zdrowym rozsądku. — Nie idzie tu o to, aby towarzystwo takie z licznych składało się członków, — bynajmniéj; lecz o to jedynie, żeby członkowie jego — choćby liczba ich była szczupła — jednego trzymając się kierunku, przekonani, iż tylko *tak* dopną swego, ufni we własne siły, szczérze i w braterskiéj pracowali zgodzie. —

(Dalszy ciąg nastąpi.)

ODPOWIEDŹ

na

rozprawę: »Powinność i Poświęcenie« w Nrze 9. i 10. Dziennika Domowego.

Autór rozprawy »Powinność i Poświęcenie« zapewne sam nie żąda, aby uważano jego rozprawę za całość organiczną i budującą, lecz głównie miał na celu skrytykowanie rozprawy w Tygodniku Literackim umieszczonéj »Miłość własna i Poświęcenie«: ale jak każda krytyka czynić powinna stawiał i on czasem coś nowego na miejsce twierdzeń, które sądził, że krytyką swoją obalił. Nie myślę ja tu z kolei roztrząsać to co nowego wystawił, naprzód i głównie dla tego, iż z całą niewinnością przyznać muszę, że za mało sposób pisania, czyli właściwy język Pana S. Zawadzkiego mi jest znany, abym mógł sumiennie powiedzieć, że go zawsze rozumiem, i owszem wyznać muszę, iż po większéj części tylko przez domysł dochodzić mogłem do poznania właściwéj myśli p. Z., któréj z całkich niekiedy periodów wyciągnąć nie zdołałem. Gdy przecież domysły nie stanowią podstawy sumiennéj krytyki, a wreszcie nie chcę podkładać mojéj myśli pod obcą, jaką to krzywdę p. Z. właśnie mnie wyrządził; opuszczam więc zupełnie twierdzącą część jego rozprawy, która jest z kolei pierwsza, a starać się tylko będę na krytykę jego w obronie mojéj rozprawy odpowiedzieć, a przez tę samą odpowiedź sądzę z resztą, że i twierdzenia p. Z. o ileby się z mojemi sprzecznemi okazały, zbitemi zostaną.

Najprzód, chociaż to zwykle nie właściwie, ale tu przypadkiem stósownie, od odpowiedzi na ogólniejsze zarzuty rozpocząć muszę, które niejako osobistości mojéj dotyczą. Czytelnik przekona się w ciagu, że nie obrażona miłość własna jest mi powodem do tego kroku, ale że rozjaśnienie całéj sprawy od tego zależy.

Zarzuca mi pan Z. eklektyzm. Na str. 70. powiada: »Niedochodząc wcale pojęć czasu, bo z kilku fran»cuzkich już dawniejszych, już dzisiajszych pisarzy, wy»kroił autor porozrywane i całości nie przedstawiające »rzuty, przetkał je kilku rzutami uchwyconemi z Hegla, »i w prawdziwym eklektycznym przedstawił omęcie. »Gdzie nie ma wewnętrznego organizmu, możeż być ja»kie stanowisko?« — Daléj: (str. 77.) »Zrestą jak au»tor gadaninę swoją o sumieniu, stawianie go wyżéj »nad spełnienie powinności względem ogółu, wyżéj nad »miłość ku temuż. wziął z Ackermana francuzkiéj bro»szurki, jak stanowisko subjektywne wziął żywcem »z Jakobiego, tak niepotrzebnie też ciągle odżywia zda»nie Heinego: o ograniczeniu pełnienia powinności przez

»prawa indywiduów.« Na to wszystko panu Z. szczerze i sumiennie odpowiadam: byłem kiedyś na uniwersytecie, lat temu już dziesięć; słuchałem wtedy także filozofii Hegla, wykładanéj przez uczniów jego, — to prawda. Później obrałem sobie zawody praktyczne, które nie dozwalały mi ani literaturze, ani w ogóle światu naukowemu zupełnie się oddawać, i owszem ostatnie lata przepędziłem całkiem na zatrudnieniach praktycznych, nie tyle z przyjemności, gdyż żyłkę do życia naukowego zawsze zachowałem, jak bardziéj z potrzeby. W przeciągu tych lat dziesięciu, czytałem ile mi czasu zbyło, ale naturalnie nie fachowo, jak to mówią; azatem że się eklektyzm mógł we mnie wyrodzić, jak w każdym człowieku encyklopedycznego wychowania, temu nie przeczę: wina to bardziéj okoliczności niż moja własna. Mimo tego tę mam opinią o sobie, że zawsze bardziéj się kształciłem wyrabianiem ze siebie niż z innych, a przynajmniéj, że to tylko wciągałem w siebie, com *także sam zupełnie rozważył i pojął i co było w konsekwencyi z innemi już nabytemi zasadami*: — kształciłem się przeto w ogóle bardziéj samodzielnie, niż przez obce wpływy. Nie chcę twierdzić, iżbym w saméj rzeczy do tak pewnych zasad we wszystkich kwestyach najinteresowniejszych dla człowieka doszedł, abym zasady moje za niewzruszone uważał; — téj zarozumiałości zupełnie się wyrzekam: lecz w każdym razie poczytuję się do ludzi *stalszych zasad* których lada nowa myśl sofistycznym blaskiem przyodziana nie uwodzi. Co do szczegółowego zaś zarzutu, iż w mojéj rozprawie tak dalece eklektyzmowi hołdowałem, iż nawet z jakiéjś broszurki Ackermana czerpałem, zaręczam i naiwnie wyznaję, iż tych ludzi, a mianowicie Ackermana nawet z nazwiska nie znałem, Jakobiego jak żyję przed oczyma niemiałem, o Heinego ograniczeniu powinności przez prawa indywiduów anim nie zasłyszał. Co do *rzutów* uchwyconych z Hegla, nie powiedział krytyk gdzie, ani które to są te rzuty, a ja przynajmniéj zaręczyć mogę, że jeżeli w istocie są, to tylko mimo wiedzy mojéj i nieumyślnie wkraść się musiały a w reszcie niebyłoby to tak rzeczą bardzo naganną, trzymać się pewników, które mistrz taki wyświecił, boć nie każdy twórcą być może nowych pomysłów lub zgoła nowego systemu filozoficznego. Dodać tu muszę, iż niebędąc literatem z professyi, nie miałem ani czasu ani potrzeby czytać cokolwiek nowego z pod prassy wyszło, lecz czytywałem zwykle te tylko dzieła, które powszechnie do lepszych liczono. Eklektyzm przeto, jeżeli się we mnie wyrodził, musi być przynajmniéj zdrowszy od tego, któremu niejeden z tych młodych literatów nie stałych jeszcze zasad podpada, którzy byle jaką broszurkę z powinności czytając, tejże dobrem i złem nasiąkną. — Ponieważ wreszcie zaręczenia moje bez podpisu byłyby nie ważne, pozwalam panu Z. zapytać się o moje właściwe nazwisko, redakcyi tego pisma. —

Jakież jest natomiast stanowisko krytyka mego? Oto czytał Ackermana i t. d. i t d... a Hegla tak doskonale zna, że zdaje się iż byłby w stanie na pamięć wymienić rozdział i kartę, z któréj ja nibyto wykroiłem czy uchwyciłem jakieś rzuty, Jest to więc literat, zgoła człowiek uczony. Co do zasad jego, o tych w prawdzie z téj jednéj rozprawki niemożna jeszcze dostatecznie sądzić, to jednak zawsze z niéj się wykrywa, że p. Z musi być tak łakomym na pokarmy duchowe, że mało czasu do trawienia mu pozostaje. Równie jak styl chropowaty, są zdania jeszcze niedojrzałe, a przynajmniéj ciemno wyrażone, że sądzić wypada, iż niejasno są pojęte. Mimo tego pan Z. zawsze jest człowiek *fachowy*, sprawa więc dla mnie trudna, broń nie równa. Jeżeli pana Z. do żołnierza liniowego porównam, który codziennie ćwiczy się w obrotach wojskowych, azatem co do formy przynajmniéj biegłym być powinien; — toć siebie najwięcéj jeżeli z gwardzistą narodowym porównać mógłbym, który nie ma rutyny. Aleć to podobno za świętą prawdę i z dobrém sumieniem z każdąkolwiek bronią wystąpić można, a często się zdarza, że treściwe cięcie nie biegłego rębacza, zawstydza najzgrabniejsze prawidłowe zamachy przeciwnika. Daléj wykrywając stanowisko pana Z. sądziłbym, iż pisał nie z własnego przekonania, ale pod obcym wpływem. Powiedziano mu może: czytaj ostatnią rozprawę w Tygodniku, — wszak to oczywiście jakiś człowiek zły, (co w tłumaczeniu znaczy: przeciwnéj partyi a raczéj koteryi, których jak wiadomo jest u nas tyle prawie co familij) napisał; bądź tak *grzeczny*, odpisz na to, a autora zmiészaj z błotem, jak możesz, bo zasłużył na to. Pan Z. jest zapewne grzeczny, przyjął więc to zlecenie na siebie bez zastanowienia, szczególniéj gdy mu zapewne wystawić umiano, że rzeczywistą obywatelską przysługę tém wyrządza; gdy mu wytłumaczono, że rozprawa w Tyg. jest nie moralna, co łatwo dowieść, przekręcając w niéj wszystko tak, jak to następnie pan Z. w krytyce swojéj uczynił. Dowodu na to podejrzenie moje nie mam, być może nawet, że się mylę, a wtedy panu Z. dziwny tylko przypisać muszę talent w przekręcaniu dowolném cudzych myśli; czyli czytania inaczéj jak pisano, do czego zapewne przez własne pisma dojść musiał, w których przeciwnie często co innego mówi, jak zdaje się że myślał.

Powiedziałem dotychczas, że nie jestem literatem, dopełniam tę potrzebną wiadomość tém wyznaniem, że

się w pisma rzadko wdaję, i że chyba tylko cel szlachetny, albo myśl, która mi się być zdaje ważną do rozpowszechnienia, do pisania mnie czasem pobudzi; a sądzę, że pod takiemi warunkami wolno dziś każdemu wtrącić się w koło powagą osłonionych ludzi naukowych — przywileje bowiem i tu ustały. — Otóż cel i ostatniéj mojéj rozprawki w Tygod. był poczciwy, bo wypływał z chrześcijańskiego uczucia miłości bliźniego. — W Dzienniku domowym (Nr. 3. 4. 5.) była rozprawa, jak mnie się zdaje, nie moralna — podkładano w niéj bowiem rozmaitym ludziom niedowiedzione pobudki, więc spotwarzono bez dowodów; (przypominam tylko co tam o pewném Towarzystwie wstrzemięźliwości zmyśloném zostało). Obok tych potwarzy — któżby wierzył — sama gadanina bez koniecznéj potrzeby i związku o poświęceniu! Ludzie którzy ciągle tylko poświęcenie, ojczyzna, wiara i tym podobne hasła w ustach noszą, są mi zawsze podejrzani. Wszakże kochanek, który całą duszą pokochał dziewicę nadobną, anielską, nie roztrąbia swojéj miłości na wszystkie wiatry, lecz głęboko w sobie tai tę miłość, saméj kochance wyznać jéj nie śmie, i chyba tylko zielonym gajom, gwiazdom i księżycowi z rozkosznéj tajemnicy się zwierza. Tak też i mąż, w którym święty ogień miłości dla bliźnich, dla ojczyzny goreje, nie rozwodnia uczucia swojego ciągłém wylewaniem na zewnątrz, ale skupieniem go w jedném ognisku do najwyższéj potęgi rozżarza. Tylko w chwilach szczególnego natchnienia i zapomnienia siebie samego, jakie się poetom zdarzają, zwykli ci ludzie uczucia swoje w słowach wyrażać — i tak n. p. powstała rozprawa »Miłość Ojczyzny,« utwór równie w poezyę bogaty, jak jest w treści filozoficzny; — ale kto codziennie i ustawicznie o swéj miłości gada, tego poczytuję za bałamuta, który chciałby uwieść obce serca bez oddania swego, jest to człowiek czczy, bez wewnętrznéj wartości Rozprawa w Dzienniku domowym, ciągle o poświęceniu, rzadko z poetyczném uniesieniem, ale bardziéj z doktrynerskiém namaszczeniem gadająca, a przytém bez miłosierdzia na egoistów powstająca, naprowadzała mnie koniecznie na tę myśl, że jéj autorem musi być taki człowiek bałamut.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

(Z Poznańskiego.)

Co prawda to nie grzech.

Stare przysłowie.

Krzyki! sejmikowania! słodkie słówka! rozprawy piśmienne — Czczy Dym!!! — Czynów potrzeba! — a to żywotnych.

Otuleni faryzejską opończą; słodkiém słówkiem na języku, rozprawiając o wolności Ludu, szydzą z herbowych zaszczytów, niby Demagogowie w swéj zagorzałości i zamiłowaniu tak Świętéj Sprawy, posuwają się aż do tego stopnia, iż śmiało wołają: »precz ze szlachectem, precz z godnością przyniesioną urodzeniem,« i czyż wierzycie temu? sądzicie to być czystą prawdą?—!— nie — to kłamstwo, a to tym haniebniejsze że podstępne, bo oszołomonia umysły czyste nieskalane, i wlewa wiarę i zaufanie do mężów, którzy chcą być filarami Działań i Dążeń Ludowych. Na poparcie tego dowodem, com powiedział: przytaczam zasadę skargi sądowéj, którą miałem sposobność czytać a to tak dobitnie, iż żadnéj wątpliwości nie podpada; czułem się być powodowanem dla przestrogi publiczności dosłownie takową przytoczyć.

»Aby oskarzony za uczynione mi injurie ciężkie pod względem na mój Stan Szlachecki i Urząd był jak najprzykładniéj ukarany i na koszta wskazany.«

Otóż i stan szlachecki może być Dziś obrażonym! a obrażonym jeszcze u tego męża, który nie zadrżał zawołać: »precz ze szlachectwem!« Prawdziwie, czytając to nie mógłem sprzecznych myśli w sobie pogodzić, i nasuwających się pytań nie byłem w stanie sam sobie odpowiedzieć, a oburzenie było tak okropne na tak widoczny faryzajski Czyn żem zawołał: Nie precz ze szlachectwem; ale precz z takiemi Dwoistemi Ludźmi. —

Dziś w myślącym świecie, potrzeba w Czynach prawdy, bo kłamstwo obwinione w najprzemyślniejszą obłudy opończą w całéj nagości stawa i okrywa zdrajcę tém większą pogardą, im czyny jego na większém polu działań stawają.

+.

TYGODNIK LITERACKI wychodzi co tydzień w Wtorek. Prenumerata, wynosząca półrocznie 2 Talary, przyjmuje się po wszystkich królewskich pocztamtach, i księgarniach krajowych i zagranicznych. Główny debit ma księgarnia J. K. Żupańskiego w Poznaniu.

Redaktor *A. Woykowski.* Czcionkami *W. Deckera i Spółki.*